

# Niewinni czarodzieje mówiący po polsku

Wszystko zaczyna się od plakatów – to one pojawiają się w mieście kilkanaście dni przed imprezą. W tym roku identyfikację graficzną Festiwalu Szkół Teatralnych stworzyła młoda graficzka Aleksandra Niepsuj. zaproponowała ludzika (trochę w stylu rysunków Marka Raczkowskiego), który gestem czarodzieja, a może ekshibicjonisty, odkrywa poły czerwonego płaszcza. W środku jest scena i widownia, gdzie w fotelach siedzą cztery podobne ludziki. Celne spostrzeżenie – aktor jest dziś kimś w rodzaju czarnoksiężnika, który ma coś z ekshibicjonisty. Z jednej strony musi wyczarowywać postaci Rumunów mówiących po polsku, przedwojennych harcerzy, sióstr Brontë, mrówki i mrówkojada, z drugiej – naturalistycznie odtwarzać szekspirowskie gwałty i z brutalistyczną szczerością symulować homoerotyczne stosunki. A na widowni dyrektorzy teatrów z notesami – oglądają, wybierają, przyznają punkty i angaże. Tradycyjnemu czarodziejowi przy takiej presji pałeczka odmówiłaby posłuszeństwa, tradycyjnemu ekshibicjoniście również...

Aktorska młodzież jednak się spięła i zagrała – przez sześć dni mogliśmy obejrzeć dwanaście spektakli konkursowych (część grana była dwa razy) i dodatkowo, poza konkursem, trzy przedstawienia muzyczne. Zważywszy, że wielu aktorów występowało w dwóch, a niektórzy nawet w trzech tytułach, że oprócz przedstawień mieli próby, że mieszkali w oddalonym od festiwalowych scen hostelu – kwietniowy tydzień w Łodzi to była dla nich ciężka praca, a nie – jak zapowiadał na otwarciu rektor Mariusz Grzegorzek – Dzień Dziecka. Oczywiście festiwalowy klub nie mógł w tym okresie narzekać na brak gości, ale integracyjna funkcja imprezy chyba nie do końca została spełniona. Zwłaszcza że studenci mieli kłopoty z oglądaniem przedstawień innych szkół. Po pierwsze z braku czasu, po drugie z braku miejsca. Malutkie sale nie mogły pomieścić wszystkich chętnych i studenci – ustawieni na końcu kolejki, za jury, pedagogami, dyrektorami teatrów, mediami, posiadaczami biletów i zaproszeń – czasami nie mogli dostać się na przedstawienie. – Trochę mnie to wkurza, że nie weszliśmy na dwa szeroko dyskutowane spektakle – mówi Weronika Wronka, studentka szkoły krakowskiej. – To powinien być festiwal dla studentów. Jej koleżanka z uczelni, Karolina Głąb, dodaje: – Nie mamy silnego parcia na nagrody. Dla mnie to mógłby być przegląd, a nie konkurs (mimo to, a może dzięki temu aktorka nagrodę zdobyła). Może na przyszłość organizatorzy pomyśleliby o wynajęciu większych sal, gdyż duża, żywo reagująca publiczność dawała występującym niesamowitą energię. Czy to przypadek, że dwa najlepsze przedstawienia, czyli Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem i Niech no tylko zakwitną jabłonie grane były na Dużej Scenie Teatru Nowego. Oklaski w trakcie spektaklu, pokrzykiwania z tylnych rzędów, widownia naładowana pozytywną energią – to dodawało aktorom skrzydeł.

Cieszy fakt, że ze studentami pracują najlepsi reżyserzy. W Łodzi zobaczyliśmy przedstawienia Krystiana Lupy, Iwana Wyrupajewa, Małgorzaty Bogajewskiej, Łukasza Kosa, Moniki Strzępki, Agaty Dudy-Gracz, Grzegorza Wiśniewskiego, Krzysztofa Globisza (w jury zasiadali Anna Augustynowicz i Piotr Kruszczyński). Na ogół ci uznani twórcy pozwalali pokazać się studentom, nawet kosztem konstrukcji spektaklu (wyjątkiem był Andrzej Poniedziałki, który gwiazdą swojego przedstawienia uczynił... siebie samego). W efekcie wiele inscenizacji było po prostu za długich. Na przykład w "Złychsnach" Agaty Dudy-Gracz spokojnie można by zrezygnować z jednej lub dwóch części. Ale wtedy nie każdy zagrałby pierwszoplanową rolę. Epizodyczna konstrukcja pozwala pokazać się wszystkim i chyba dlatego jest tak często stosowana – dyplomowe spektakle to ciągi scenek, w których z dużego zespołu na pierwszy plan wychodzą kolejno pary aktorów. Gdy jest inaczej, reżyserzy uciekają się do karkołomnych rozwiązań, takich jak granie jednej postaci przez trzy zmieniające się osoby (nie jest to oczywiście uzasadnione zmieniającym się wiekiem bohatera). Tak było w przypadku roli Parchy z wrocławskiego przedstawienia "Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku". Nawiasem mówiąc, zastanawia popularność tego tekstu Doroty Masłowskiej,

granego również przez szkołę łódzką.

To byłoby nawet ciekawe, gdyby każda szkoła musiała pokazać ten sam, wcześniej wybrany przez jakieś utytułowane gremium tekst. Na razie mieliśmy pojedynek łódzko-wrocławski na "Rumunów" Masłowskiej. Mnie bardziej podobała się wersja łódzka - w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, choćby z powodu wykonywania przez aktorów muzyki. W festiwalowych produkcjach nie było to wyjątkiem - widać, że od młodych aktorów wymaga się wszechstronności (Daniel Malchar był nawet kompozytorem muzyki do "Mężczyzny..."). Ale najwyraźniej wyższość naszego przedstawienia widać było w scenie z pijanym kierowcą samochodu. Magdalena Drab zrobiła z epizodycznej roli prawdziwy majstersztyk, co nie umknęło uwadze jury. A umknąć mogło wiele. W piątkowe popołudnie i wieczór jurorzy oglądali teatr przez siedem i pół godziny, w dodatku aktorzy nawet w niektórych programach nie byli przypisani do konkretnych ról. Identyfikowanie ich po zdjęciach w katalogu festiwalu nawet znawcom sprawiało kłopot. - Pani profesor, jak się nazywa ta blondyneczka, która grała żonę? - Ale która, bo były dwie? Ta w okularach?

Łódź lepsza od Wrocławia, ale gorsza od Krakowa. Poza podium Warszawa, której na osłodę pozostaje tytuł Akademii Teatralnej i nagrody za role w "Harcach młodzieży polskiej". Nie wypowiadałbym tak kategorycznych opinii, gdyby nie potwierdzały tego nagrody jury, publiczności i ZASP. Marta Mazurek z Krakowa zdobyła nie tylko Grand Prix i nagrodę ZASP, grała też w spektaklach zaproszonych na festiwale do Warszawy i Poznania. Zwycięzcami mogą też czuć się Paulina Gałązka i Piotr Bondyra z Łodzi - docenieni przez jury i przez publiczność. Dla mnie absolutną rewelacją były spektakle krakowskie. Śmiem twierdzić, że takiego musicalu jak Niech no tylko zakwitną jabłonie nie dałby rady przygotować niejeden teatr zawodowy. Jedni woleli spektakle łódzkie, inni krakowskie - to trochę kwestia gustu, a może temperamentu. Wiele osób podkreślało jednak, że to zupełnie inne estetyki. Weronika Wronka: - Jesteśmy w tym samym punkcie życia, a totalnie się różnimy. Widać, że każda szkoła kształtuje inne gusta, inne poglądy na temat teatru. Na czym te różnice miałyby polegać? Moim zdaniem Kraków i Łódź to jak The Beatles i The Rolling Stones. Kulturalni, perfekcyjni, umuzykalnieni studenci z Krakowa kontra mocni, ekspresyjni, z jęzorem na wierzchu brutalności z Łodzi. Kwitnące jabłonie kontra shopping & fucking. Opozycja stara jak świat.

A teraz pora na moje prywatne nagrody: Michał Kosela z Wrocławia - dla najlepszego aktora grającego w trzech spektaklach, Tomasz Lipiński z Łodzi - dla najlepszego Rumuna mówiącego po polsku, Michał Bartczak z Łodzi - dla najlepiej zapowiadającego studenta III roku (codziennie słyszeliśmy ten sam tekst o sponsorach i zasadach głosowania, Michał wygłosił go najlepiej), Piotr Grobliński - dla najbardziej spoconego widza, przed spektaklem "Złesny", gdy w koszuli i marynarce czekałem na wpuszczenie na widownię (hołduję archaicznemu zwyczajowi chodzenia do teatru w marynarce jednak), wreszcie Antoni Milancej - za najlepszą kreację stworzoną słowem (za rolę Kułygina w "Złychnach" Agaty Dudy-Gracz) - nagrodą jest zdjęcie na okładce Kalejdoskopu.

Antoni Milancej zagrał Rabbiego w "Shopping & Fucking", a także m.in. Kułygina w "Złychnach", gdzie w mocno skróconej wersji Trzech sióstr zrobił ze swojego bohatera główną postać. - To nie jest idiota, który nie widzi, co się dzieje. To bohater tragiczny, który chce zrozumieć swoją żonę - mówi aktor, którego zaangażowanie doceniła również sama reżyserka, zapraszając go do udziału w swoim krakowskim przedstawieniu Każdy musi kiedyś umrzeć, porcelanko w Teatrze im. Juliusza Słowackiego (premiera 9 maja). Na stronie festiwalu w rubryce „ulubiona kwestia” Milancej zacytował Kułygina: Jesteś moją żoną, a ja mimo wszystko jestem szczęśliwy. Zapytany, czy był to wybór ironiczny, odpowiada: - Ta kwestia była dla mnie wielką trudnością. Długo myślałem, jak to powiedzieć, żeby odnaleźć w niej dramat tego człowieka.